



Napisał: Czesław Białczyński

- Kto by pomyślał, że tak szybko spotkamy...

- Zamknij się - syknął Lir i podczołgał się kawałek do przodu.

Zaszeleściły rozchylone krzaki. Popelzłem w milczeniu za nim.

- I co? - zapytałem.

- Nic, stoi - rzucił Lir, odkładając na bok lornetę.

- Żadnego ruchu?

- Sam zobacz.

Podciągnąłem się kawałek i rozchyliłem suche, jakby papierowe gałązki. Przyłożyłem do oczu lornetę i wyostrzyłem obraz.

- Rzeczywiście stoi. I nic poza tym - powiedziałem, opadając na brzuch.

- Czekają?

- Pewnie normalna procedura.

Zamilkliśmy na chwilę. Lir jakby się ocknął.

- Taki tu tłok - powiedział - jak w bazie na święta.

Znów sięgnął po lornetę. W dole, w kotlinie, na samym środku jej płaskiego dna, sterczało jak zaostzony ołówek smukłe, złociste wrzeciono.

- Jak na święta - powtórzył w zamyśleniu. Przypomniała mu się naraz Ziemia. Jego odległe teraz miasto, położone gdzieś na wschodnim wybrzeżu Azji, jego kontynent i planeta. Ale był to tylko moment.

- Widocznie nie tylko my mamy do nich jakiś interes - mruknął.

x x x

Wylądowaliśmy w niezbyt pięknym stylu. Trzeba powiedzieć, że to nas zaskoczyło i zdeprimowało. Przecież automaty nie myliły się nigdy. Czegoś jednak nie przewidziały, skoro

chluba środkowoeuropejskiej stoczni „Arka”, największy na świecie eksplorator, wyposażony w urządzenia będące szczytem możliwości konstrukcyjnych i technologicznych, wylądował tak, jak wylądował. Duża część urządzeń zaraz na początku, po pierwszym uderzeniu przestała funkcjonować. Prawie cała reszta po następnym. Statek zarył w piach. Dobrze, że tylko tyle. Równie szczęśliwie wyszli z tego ludzie. Nie da się ukryć, że nie był to najlepszy początek. Żeby doprowadzić wszystko do jakiejś takiej używalności, musieliśmy pracować pełną parą. Przy tym niemal we frontowych warunkach. Nikt nie mógł powiedzieć, co spowodowało katastrofę, ale wiele faktów przemawiało za hipotezą, że był to atak. Zresztą czy można tak to nazwać? Raczej obrona. To nie my byliśmy tutaj gospodarzami. Wszystkie sondy wysłane w zwiadzie przestały działać w atmosferze. Nie można było mieć pewności co do powodów. Tak więc trzeba było przyjąć linię frontową. Zamknięci w polu naprawialiśmy uszkodzenia. Nie próbowano nawet wysłać jakichkolwiek sond, aż do momentu, gdy osiągniemy pełną sprawność. Pozostawialiśmy jakby w nadziei, że jeśli ktoś miał nas zauważyć, to jeszcze nie zauważył. Oczywiście bzdura. Nikt się jednak nami nie zajmował. Trzeciego dnia pozwolono załodze wyjść na powierzchnię. Pustynia jak pustynia. Na Ziemi są podobne. Może tylko mniej niebieskie. Czwartego dnia wysłano sondę. Obleciała całą planetę wzdłuż osiemdziesiątego równoleżnika. O dziwo – powróciła cała. To, co zobaczyliśmy, dało nam pewność. Postanowiono spróbować nawiązać kontakt. Idealnym miejscem wydawała się budowla w kształcie kuli, znajdująca się na wybrzeżu jednego z oceanów.

x x x

Strad sunął szerokim wąwozem. Zbocza były tutaj ostre. Strone skały rzucały na przeciwległą ścianę długie cienie. Gwiazda niedawno weszła i teraz wyzierała krwista i olbrzymia znad krąweży. Strad sunął powoli i bezszelestnie, wzbijając kurz. Wokoło panowała zupełna cisza. Najłżejszy podmuch, najdelikatniejszy dźwięk jej nie zakłócał. Milczeli. Za następnym zakrętem zatrzymali się. Przed ni-

mi w kotlinie połyskiwała swymi wypolerowanymi ścianami potężna kula. Mogła mieć ze sto metrów wysokości, może więcej. Bez jednej rysy. Jakby odlana.

– To tutaj – powiedział Mounk.

– Tak. Wsuń anteny.

Mounk nacisnął guzik. Anteny jak czułki wysunęły się z przodu stradu i zafalowały.

– Nadajemy?

– Zaczynaj!

W stronę kuli popłynęła zakodowana wiązka. Sygnały w przeróżnych kombinacjach pędziły ku masywnej budowlu, która pozostawała wciąż nieruchoma. Trwało to dobrych kilkanaście godzin. Gwiazda topiła się już w zachodniej łunie po przeciwnej stronie wąwozu, który znów płonął. Nadchodził zmrok. Kontury skał szarzały. Strad stał pod skałą. Macki anten falowały w lekkich podmuchach wiatru. W przestrzeń uparcie płynął strumień informacji, danych o kulturze, osiągnięciach, zamiarach, filozofii, wszechświecie. Kula nie dawała żadnego znaku. Żadnego odzewu. Cisza.

– Namysłają się? – zapytał samego siebie Lir.

– Może uczeni...

– Wiesz dobrze, że się nie mylą w takich sprawach. Skoro nas tu wysłali, to znaczy, że mają pewność.

– Tak. Muszą mieć pewność. – Mounk otarł spocone czoło i sięgnął po termos. Kameery, notowniki, odbiorniki, ekrany – wszystko czekało w pogotowiu na znak. Ale znaku nie było.

x x x

Te puste miasta, te wyludnione miasta mogły nam być już wcześniej powiedzieć, że coś tu nie tak. Ulice opustoszałe. Czy to były zresztą ulice? Żadnej nawierzchni. Żadnych chodników, eskalatorów, pojazdów. Nic. Tylko po obu stronach te zastygłe białe bąble. Wyglądało to tak, jakby gospodarze tego wszystkiego wyparowali. To nie pokrywało się w żaden sposób z obrazami sondy. Kiedy ona przelatywała nad tym miastem, panował w nim ruch. Krzątania, kolory. Musieli wiedzieć o niej. Mimo to pozwolili nam sfotogra-

fować miasto. Te wszystkie kopuły były wtedy rozchylone jak kielichy kwiatów. Otwarte do słońca. Teraz była martwa pustka...

Strady zatrzymały się przy małym bąblu wielkości niewielkiego domku. Nikt nie wysiadał. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w bąbel.

– Tniemy? – zapytał Firank. Pytanie było raczej formalne. Wiadomo, że po to tu przyjechaliśmy. Zabraliśmy się do roboty. Bąbel był oporny. Nic nie mogło go ruszyć. W końcu musieliśmy dać za wygraną. Nie wolno go było przecież traktować antymatem czy czymś w tym rodzaju. Musieliśmy ustąpić.

x x x

U spodu wrzeczona rozwarła się teraz czarna jama. Robiło się coraz ciemniej. Lirowi zdrętwiały już nogi. Naprężony wpatrywałem się przez lornetę w ciemność. Tak. Wyraźnie u spodu wrzeczona coś się zmieniło. Trąciłem Lira w bok, podając mu lornetę.

– Chyba się rusza?

Zerwał się lekki wiatr. Popatrzyłem na niebo, ale było już prawie czarne.

– Żeby tylko nie chciało padać – wymamrotałem do siebie. Położyłem się na wznak i rozluźniłem mięśnie. Siedzieliśmy tutaj od przeszło czterech godzin. Robiło się coraz chłodniej.

– Ruszają się! – niemal wrzasnął Lir.

Wyszarpnąłem mu lornetkę i wyteżyłem wzrok. Coś tam się działo.

– Przejdź na podczerwień – szepnął Lir.

Przesunąłem dźwignię. Nie wiadomo, dlaczego bez przerwy mówiliśmy szeptem. Przyłożyłem znów instrument do oczu.

– Tak – powiedziałem specjalnie głośno – ruszają się.

W polu widzenia długi sznur małych, poziomych cygar wytaczał się z wnętrza wrzeczona. Sunęły na północny zachód, w stronę, gdzie kotlina otwierała się szeroko, tworząc wieleset-kilometrowy płaskowyż porośnięty tymi dziwnymi, szeleszczącymi krzakami.

– Baza!! Baza!!! Mówi Lir! Mówi Lir! Ruszyli się!!! Kierunek PZ! – Zamilkł na moment, nasłuchując odpowiedzi.

– Rozumiem! – rzucił w mikrofon. – Zrozumiałem! W bezpiecznej odległości!

Szarpnął mnie za nogawkę. Pochód nie miał zamiaru się skończyć. Z rozwartej czarnej jamy sączył się coraz szerszy strumień ni to pojazdów, ni to urządzeń, strumień cygarowatych tworów, które po bliższym przyjrzeniu się im przypominały najbardziej olbrzymie, błyszczące gąsiennice.

– Pójdziemy równolegle w bezpiecznej odległości, w tym samym kierunku, co oni. Mamy bez przerwy meldować.

Oderwałem oczy od wypolerowanego okularu i spojrzałem na Lira, jakbym go widział pierwszy raz. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedział. Wyczolągaliśmy się za skarpe. Nareszcie mogliśmy trochę rozprostować kości. Zarzuciłem lornetę na plecy i poszliśmy.

x x x

– Niestety – ciągnął Rasin – oni po prostu nie chcą z nami rozmawiać.

– Tak – Leuian miał zafrasowaną minę. – Nie odpowiadają na sygnały, w dodatku wszędzie, gdzie się zjawimy, zastajemy pustkę. Bąble pozamykane, chociaż nie ukrywali się przed naszą pierwszą sondą. Następne sondy natrafiają już tylko na taki sam obraz, jak my podczas zwiadów. Nie udało nam się sforsować ani jednego bąbla przy użyciu w miarę bezpiecznych środków.

– Moglibyśmy tego dokonać – wtrącił Essmin – jak się wydaje, jedynie przy zastosowaniu antymatów.

– Antymaty – powiedział Rasin – spowodowałyby prawdopodobnie zbyt wiele szkód. Mogłoby to wręcz uniemożliwić nawiązanie kontaktu.

Posiedzenie ciągnęło się od rana. Każdy miał coś do powiedzenia. W sumie nic to nie zmieniało. Po prostu byliśmy w kropce. I była to kropka absolutna. W sali narad zrobiło się już niemożliwie duszno, mimo ciągłej pracy sprzężarek na pełnych obrotach. Zebrała się w niej cała załoga i wszyscy naukowcy. Trzeba się było zapoznać z dotychczasowymi wynikami i zastanowić. Nad czym? Tak. Właściwie

nad czym? Co za dziwny pęd do jałowych dyskusji.

– Trzeba rozpocząć eksplorację wód, przyrzec się dnom oceanów – mówił Eutat – i kontynuować próby porozumienia.

– Myślę, że bąblom możemy dać spokój – powiedział Firank. – Wydaje mi się natomiast, że należałoby rzucić podziemne sondy i, jeżeli to coś da, w miejscach podejrzanych rozpocząć wiercenia.

– Zgoda – rzekł naczelny. – Pozostałe grupy będą działać jak do tej pory. Poddaję projekt pod głosowanie.

Zapaliły się same zielone światełka.

Ludzie wysypywali się z dusznego pomieszczenia, rozprawiając o wszystkim naraz. Każdy miał coś do powiedzenia. No, może nie każdy. Na przykład taka Ateya i Ptiex mówili zupełnie o czym innym. Lir wiedział to dokładnie. Dziewczyna płonęła cała i poruszała się jak lunatyczka. Ptiex obejmował ją ramieniem. „Ten ma powodzenie” – pomyślał Lir.

x x x

Przedzieraliśmy się przez gąszcz z suchym chrzęstem łamanych gałęzi. Lir raz po raz przystawał, ocierając spocone czoło. Szło nam to niesporo. Splątane krzaki tworzyły gęstą pajęczynę, której rozrywanie wymagało dużego wysiłku. Wreszcie dotarliśmy do jakiejś ścieżki. Otrzeptałem zakurzone rękawy, poprawiłem lornetę i ruszyliśmy dalej. Teraz posuwaliśmy się o wiele szybciej. Szliśmy po przekątnej do kursu obranego przez cygara. Lir bez przerwy zastanawiał się, co to może być i o co w ogóle chodzi. Inwazja czy co? Cygara poruszały się bardzo wolno. Na skraj zarośli wyszliśmy niespodziewanie. Lir aż się przestraszył. Szarpnął się w tył, powstrzymując mnie. Zamarliśmy. Po wertepach, dosłownie kilka kroków od nas, sunęły równym rzędkiem cygara. Z bliska można było dopiero ocenić właściwe ich rozmiary. Giganty. Wycofaliśmy się krok za krokiem za bliższe krzaki i tam przywarowaliśmy. Lir zajął się nadajnikiem. Podał pozycję i kierunek, w jakim poruszała się kolumna. Czekaliśmy dosyć długo na odpowiedź.

– Ale to trwa – szepnąłem. – Mogliby się pospieszyć, bo skóra mi cierpnie.

– Widocznie zastanawiają się.

Za cienkim murem z zarośli z dudnieniem i łomem przesuwwały się miarowo metaliczne cygara.

– Zauważyłeś, jak się poruszają? – zapytał Lir.

– Jakby się kręciły wokół swojej osi i wiły równocześnie.

Coś zaskrzeczało w słuchawkach.

– Wracać natychmiast!! – usłyszał Lir. – Wracać natychmiast!!! Idą na szyb numer 6 i 7 i w ogóle na wszystkie szyby! Nie muszę wam tłumaczyć, co to znaczy!!!

– Zrozumiałem – powiedział Lir i rzucił: – Zbieramy się, stary. Oni walą prosto na szyby i na nasz statek.

Przez chwilę nie rozumiałem. Jakoś nie mogło to dotrzeć do mojej świadomości. Raczej nie chciało.

– Musimy się cholernie spieszyć – wycedziłem wreszcie. – Oni mają bliżej niż my. Zostawiamy Strad?

– Tak. Jest za bardzo w kierunku. Trwałoby to dłużej. Większą szansę mamy na piechotę.

Weszliśmy znów w gąszcz. Spieszyliśmy się. Gąszcz stawiał coraz większy opór, a nam spieszyło się coraz bardziej. Ostre gałęzie wczepiały się w skafandry, kaleczyły dłonie. Uszarpaliśmy się z nimi nieźle, zanim dotarliśmy do szóstego szybu. Na szczęście cygar jeszcze nie było, ale od południa, zza zarośli, nadciągało już dudnienie. Stąd droga była prostsza. Wyrąbały ją strady obsługujące szyb. Nie było już tutaj zwykłej załogi. Nie było żywej duszy. To, czego się spodziewał po wierceniach Firank, oczywiście, nie spełniło się. A raczej spełniło się tylko częściowo. Sondy rzeczywiście wykryły podziemne zgrupowania sztucznych formacji. Na dość dużych głębokościach, ale nie niemożliwych do osiągnięcia dla naszych świdrów. Uruchomiono 13 szybów. Statek przeniesiono i spoczywał teraz przy ósmym z nich. Wiercono dzień i noc. Okazało się, że zgrupowania sztucznych tworów pod ziemią ciągną się w jednej linii, wyznaczając oś, na której przedłużeniu znaj-

dowała się Biała Kula. Nie sposób było domyślić się, co to oznacza. Wsuwano dziesiątki hipotez. Wszystkie prawdopodobne. Jednak żadna nie dawała pewności. Zresztą przestały one mieć znaczenie, gdy dotarto do głębokości 6000 metrów. Stwierdzono tylko, że to ta sama substancja, z której zbudowane są bąble. Wszystkie narzędzia jeszcze raz okazały się bezużyteczne. A potem przyszedł ten pamiętny wieczór i pełna napięcia noc.

x x x

Eutat sterczał nad ekranem z rękami w kieszeniach. Wkoło zbili się w gromadkę pozostali. Trwali wpatrzeni tak jak on w ekran. W twarzach napięcie. Nie tylko w twarzach. W gestach, w rzucanych pojedynczych słowach. Cały płaskowyż tonął już w czerni, za nim było ciemnogrnatowe niebo z pojawiającymi się coraz liczniej gwiazdami.

– Nie ma wątpliwości – powiedział Firank, pocierając brodę – wylądowali!

Wylądowali! Ile było w tym słowie emocjonalnego ładunku. Na pewno więcej niż chłodu logicznego rozumowania. Wylądowali. Ale kto?

– Czy to Oni? – zapytał zupełnie niepotrzebnie Lir. Jak zwykle palnął byle co. Kto mógł wiedzieć, czy to Ich statek, czy jeszcze jakiś inny.

– Meldunek dla Naczelnego – powiedział Eutat do dyżurnego.

– Nie trzeba – odezwał się za ich plecami Naczelnny.

Rozstąpili się. Przez chwilę wpatrywał się w ekrany. Wydawało się, że chce z ekranu wyczytać coś więcej, niż można zobaczyć. W końcu westchnął. Wyprostował się.

– Za piętnaście minut narada. Wszyscy członkowie Rady Głównej i Pomocniczej zbiorą się w moim gabinecie.

Tak. To był nasz stary. Ani jednego niepotrzebnego słowa, ruchu. Krótko i jasno. Wszyscy zaczęli się rozchodzić.

„Ciekawe, do czego dojdą i co z tym fantem zrobią” – pomyślałem. Zresztą dla mnie było to mniej ważne. Pozostawałem tylko wykonawcą. „Zrobię, co mi każą. Zawsze postępowałem w ten sposób, mimo że czasami miałem

swoje zdanie. Na przykład teraz także. Nie chcąc z nami rozmawiać, to nie pchajmy się. Po cholereę się narzucać. Może kiedyś nabiorą ochoty.”

Wyciągnąłem się na swojej koi i bezmyślnie spoglądałem w sufit. Z zapatrzenia wyrwał mnie głośnik.

– Kater i Lir – zaskrzeczał – zgłoszą się u Koordynatora!

Byliśmy u niego za pięć minut.

– Zostaliście wybrani do zwiadu – powiedział. – Trzeba podejść blisko do tego obcego statku. Oczywiście, możecie odmówić.

Oczywiście, mogliśmy...

x x x

Lir coraz bardziej opadał z sił. Przez moment wydawało się, że cygara przyspieszyły i dopędzają nas. Nie. To nie cygara. To myśmy zwolnili. Nogi miałem coraz miększe... Wreszcie znaleźliśmy się na nieporośniętej płaszczyźnie. Polana wokół ósmego szybu. Odechnęliśmy głębiej. Już niedaleko. Z 500 metrów. Lir potknął się. Podtrzymałem go i pociągnąłem za sobą.

– Nie mogę – wyjęczał.

– Musisz – rzuciłem twardo – jesteśmy już u siebie.

Dopadliśmy pola w momencie, gdy na skraju polany ukazały się pierwsze cygara. W lewo od nas rozpały się zielone światełka. Otwarto kanał. Widocznie namiarowy śledził nas od jakiegoś czasu. Wpadliśmy w kanał, niczym zbłąkany podróżny do oazy. Pole zatrasnęło się za nami. Obejrzałem się. Były niedaleko. Winda czekała. Stanęliśmy na podeście, który uniósł nas w górę. Dwie malutkie sylwetki na tle kosmitowego kolosa.

– Teraz mam was gdzieś – zawołał Lir – cygara, cygaretki i cygarniczki! – i zaśmiał się nerwowo.

Spojrzałem na towarzysza i zrozumieliśmy się bez słów.

W dole, wokół pola, ustawiały się pojazdy czy też urządzenia tamtych, a my sunęliśmy w górę, mijając grube szramy łączy na panczerzu. Właz zatrasnął się za nami i dyżurny zaprowadził nas do centrali. Badanie było krótkie. Meldunek jeszcze krótszy. Cała zało-

ga na stanowiskach. Cała, oprócz nas dwóch. My mieliśmy teraz wolne. Skierowałem się do sterowni. Lir mnie dopędził.

– Jesteś ciekawy, co się tam dzieje?

– Uhm – mruknąłem, wkładając ręce w kieszenie.

Poszliśmy razem. Przy ekranach siedział Firank i jeszcze kilku techników.

– Zrobili kordon – powiedział na nasz widok.

– Widziałem z windy – rzekł Lir, rzuciwszy okiem na ekran. – Ale tu jest ich jakoś mało.

– Reszta otoczyła szyby – powiedział jakiś młody technik. Ręce mu się trochę trzęsły. Najwyraźniej był zdenerwowany. „Nowicjusz – pomyślałem – tutaj trzeba być opanowanym. Co będzie, gdy drgnie mu ręka?” Bez słowa odsunąłem technika od pulpitu i przejąłem kontrolę. Firank nic nie powiedział. Nie było o czym mówić. Każdemu może się zdarzyć. Na zewnątrz nic się nie działo. Ale był to tylko moment.

– Co u was? – rzucił Firank wpatrzony w fosforyzującą tarczę. Na ekranie miał 10 i 11 szyb.

– Zaczęło się – wycedził technik.

Na zewnątrz we wszystkich miejscach równocześnie rozszalała się burza. Cygara sypały gradem niewielkich, kiskowatych tworów, które padały na szyby i rozbrzgiwały się, ściekając po konstrukcjach. Kopuła pola rozżarzyła się. Nagle na wszystkich ekranach pojaśniało. Wszystko stanęło w ogniu. Statkiem targnęło. Pole zachwiało się na moment, ale cygara otaczające statek zamilkły. Natomiast przy szybach trwała nadal kanonada. Setki tysięcy metrów ziemi zamieniało się w parę. Na planecie zapanował nagle dzień. Trzydzieści rozżarzonych punktów zamieniło się w ciągłą linię oślepiającego blasku. Tylko w miejscu, gdzie stał nasz statek, ziała w tej jaśniejszej od tutejszego słońca linii czarna wyrwa.

– Bombardują też Kulę – powiedział technik.

– Startujemy! – rozległ się w głośnikach głos Naczelnego.

– Start! – wrzasnął Firank, choć wszyscy słyszeli go dobrze.

Startowy docisnął spust. Wszystko zadrżało. Zawył. Rakieta ruszyła w górę.

– Cała moc!!

Oblęd. Statek dostał całą moc, a nie ruszał się z miejsca. Firank zaniemówił. Startowy walił raz po raz z planetarnych. I mimo to ani centymetra w górę...

– Fotonowy! – rozległo się. Popatrzyliśmy po sobie. Naczelnny wie, co robi. Stawka była za wysoka.

– Fotonowy! – zagrzmiał Firank. Czekaliśmy w napięciu. Co nastąpi? Morze ognia. Fontanny ognia. Gejzery, oceany rozgrzane do niemożliwych granic. Cygara musiały już dawno wyparować. Statek targnął się w górę, lecz zamarł.

– Stop! – rozkazał Naczelnny – nie mamy szans. Moglibyśmy się przypadkiem dogrzebać do tych na dole. Stop!

– Stop! – rozległo się. – Stop! Stop! – odpowiedziały pokłady statku.

Osiedliśmy nieco niżej niż poprzednio. Łuny w ekranach pogasły. Wkoło pola rakiety stały nadal cygara.

– Niewiarygodne – Firank osunął się na fotel – niewiarygodne. – Wytrzymali to – stwierdził Lir. Nikt się nie odezwał.

x x x

Cygara odjechały. Wystartowaliśmy. Pozwolono nam wystartować. I zaraz po starcie powierzchnia planety rozżarzyła się na nowo. Kontynuowali. Robili swoje.

„Pozwolili – pomyślałem – pozwolili w swej nieprzebranej łasce nam, nędznym robaczkom, ująć wolno. Nieprędko to zapomnimy. Wspaniałomyślni – wzbierała we mnie wściekłość – zdobywcy!” – Zachciało mi się śmiać. – „Nędzne malutkie robaczki. A my myśleliśmy, że to o nas im chodzi. Nie. Oni nas po prostu nie zauważyli. To nie o nasze szyby szło. Nie o nasze skóry. Po prostu przypadkiem nasze drogi się zetknęły”.

Statek oddalał się. Na pokładzie panowało przygnębienie. I strach. Naocznie przekonaliśmy się o tym, że niekoniecznie na tak wysokim etapie, na jakim byli tamci, można być tylko dobrym, pobłażliwym wujaszkiem, starszym bratem. Zbyt naocznie przekonaliśmy się...